

COPYRIGHT © POLITYKA Spółdzielnia Pracy. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

TEMAT TYGODNIA

- 10 Piotr Pytlakowski **Cztery (prawie) polskie rakiety, czyli o sukcesach tenisistek**

ROZMOWA POLITYKI

- 14 **Guy Sorman**, francuski filozof, ekonomista i publicysta, o zaletach podatków i nieuchronnej unijnej integracji

POLITYKA

- 17 Mariusz Janicki, Wiesław Władysław **Lemingi, czyli nowi mieszkańcy**

KRAJ

- 20 Juliusz Ćwieluch **Bilans polskiej misji w Afganistanie**

- 23 Rozmowa z prof. **Bohdanem Wasilewskim**, psychiatrą i psychoterapeutą, o tym, dlaczego tak wielu Polaków to typy autorytarne i dlaczego jesteśmy dziś tak podatni na szaleństwo

- 26 Edyta Gietka

- To była pomyłka, ale oskarżona zmarła**

- 28 Marcin Kołodziejczyk **W stolicy straszą szkieletory**

RYNEK

- 31 Adam Grzeszak **Biuro Podróży Sky Club – bankructwo inne niż inne**

- 34 Wawrzyniec Smoczyński **Skandal bankowy w londyńskim City**

ŚWIAT

- 38 Michał P. Garapich **WLK. BRYTANIA Środki bezpieczeństwa przed olimpiadą**

- 41 Jędrzej Winiecki **CYPR Jak przetrwać prezydenturę?**

- 44 Artur Domosławski **PERU Przekłète złoto**

HISTORIA

- 48 Agata Muszyńska **Listy z warszawskiego getta**

NAUKA

- 52 Przemek Berg **Brakująca część świata**

- 54 Agnieszka Krzemińska **Skarby z jeziora**

- 56 Edwin Bendyk **Co z nami będzie za 40 lat?**

KULTURA

- 62 Piotr Sarzyński **Od murali do krasnali – sztuka miejska udana i mniej udana**

- 65 **KAWIARNIA LITERACKA** Jacek Dehnel

- 66 Adam Krzemiński

- Mocne powieści o grach wojennych**

- 69 **MEA PULPA** Kuby Wojewódzkiego

- 70 Edwin Bendyk **Koniec człowieka czytającego**

PÓŁPRZEWODNIK POLITYKI

- 72 Zygmun Kukla **WAKACJE Z PASJĄ**

Prowadząc autokar po Europie...

LUDZIE I STYLE

- 76 Barbara Pietkiewicz **Dzieje wstydu, czyli historia kostiumu kąpielowego**

- 80 Jarek Szubrycht, Adam Krzemiński **Co wolno satyrykom za granicą**

- 83 Joanna Podgórska **Jędrzejowska – nasza przedwojenna finalistka Wimbledonu**

NA WŁASNE OCZY

- 92 Tekst i fotografie Sławomir Olzacki **Ostatni Sasi z Siedmiogrodu**

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 5 Ludzie i wydarzenia
• 58 Afisz • 86 Fusy • 88 Stomma • 89 Passent
• 91 Tym • 98 Polityka i obyczaje

W NUMERZE



20 Rozliczamy Afganistan



23 Kto dziś jest normalny?



38 Olimpijska twierdza Londyn

80 Zagraniczni Wojewódzcy



Andy Kaufman



Ricky Gervais



Frankie Boyle



Sarah Silverman



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKO: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140



Sławomir Mizerski: Z życia sfer

Inicjatywa powstańcza

Jest pomysł, żeby zakończone Euro 2012 trwało dalej w naszych sercach i umysłach. „Jeśli chcemy, by piłkarskie mistrzostwa były prawdziwym sukcesem, nie mogą się skończyć na finale w Kijowie. Nie mogą się skończyć jeszcze długo” – przekonuje publicysta „Gazety Wyborczej”. Pomysł jest sensowny. Przygotowanie Euro kosztowało tyle pracy i pieniędzy, że szkoda byłoby je kończyć już po trzech tygodniach. Za dalszym trwaniem Euro przemawiają wybudowane lotniska, autostrady, wyremontowane dworce, a także przystrojone i umalowane na tę okoliczność kibice, którzy z dalszego trwania Euro z pew-

nością będą zadowoleni, zwłaszcza że nasza reprezentacja już by w nim nie występowała.

Trwanie Euro w naszych sercach i umysłach byłoby wielkim zwycięstwem ducha nad materią. Jest szansa, że dzięki temu nowe lotniska, dworce, autostrady nie byłyby na razie zamykane i oddawane do remontu, ale działałyby dalej nie tylko w naszych umysłach. Kontynuowano by budowę niedokończonych dróg i autostrad tak, żeby chociaż część z nich mogła być przejezdna do czasu kolejnego zakończenia Euro. Znowu wypełniłyby się nasze nowoczesne stadiony, które UEFA zwróciła Polsce po finale w Kijowie.

Powstał już pomysł, aby oddane przez UEFA stadiony wykorzystywać nie tylko do dalszego trwania Euro, ale również do or-

ganizacji mundialu lub olimpiady. Bądźmy realistami, na zorganizowanie tych imprez stać nas, jeśli tylko ktoś odpowiednio wcześniej dostarczy stosowne fundusze. Niektórzy uważają wprawdzie, że są to pomysły wzięte z kosmosu, ale to tylko dowód na to, że i w kosmosie mogą się rodzić pomysły dobre dla Polski.

Oczywiście dalsze trwanie Euro nie wszystkim jest na rękę. Zdaniem PiS, nie możemy sobie pozwolić na to, żeby Euro trwało, gdyż przynosi ono poważne straty w sercach i umysłach. W całym kraju zapanowałby szkodliwy optymizm i nieuzasadniona wesołość, doszło do tego, że w przepływie dobrego samopoczucia miejscowości takie jak Opalenica, Gniewino czy Wieliczka oderwały się od Polski i kibicowały niepolskim ekipom.

Prezes PiS nie kryje, że miał nadzieję, iż dzięki Euro wykonamy wielki skok cywilizacyjny, ale wyszła klęska. Teraz na wykonanie takiego skoku jest już chyba za późno – przyszły potworne upały, ciężko oddychać, o skakaniu w takich warunkach nie ma co marzyć.

Trzeba skończyć z mrzonkami o skokach i olimpiadach i wrócić na ziemię, tę ziemię. Przyszły rok będzie rokiem dla Polski kluczowym i nie można zmarnować go na puste gesty i gry wizerunkowe. Trzeba się zająć sprawami trudnymi, ważnymi dla przyszłości państwa.

Rzecz jasna trudno spodziewać się takich działań po obecnym rządzie, dlatego cieszę się inicjatywą posłów PiS, którzy mimo panujących upałów wystąpili do Sejmu z uchwałą ustanawiającą rok 2013 rokiem powstania styczniowego. Ich zdaniem, jeśli w kraju nic się nie zmieni, już w przyszłym roku do takiego powstania może dojść.



Trzeba skończyć z mrzonkami o skokach cywilizacyjnych i olimpiadach i wrócić na ziemię, tę ziemię.

Interes internauty

Edwin Bendyk

Komentarz

Parlament Europejski 4 lipca powiedział NIE dla ACTA. Przeciwno „międzynarodowej umowie o zwalczaniu handlu podróbkami i naruszeń praw autorskich” zagłosowało 478 posłów. Poparło ją zaledwie 39 parlamentarzystów.

W tej batalii Polska odegrała, ku zaskoczeniu wszystkich, kluczową rolę. Gdy wydawało się, że negocjacje dobiegły końca i pozostało już tylko złożenie podpisów na dokumencie, a następnie jego ratyfikacja, na ulice polskich miast pod koniec stycznia wyszły dziesiątki tysięcy demonstrantów wołając „Stop ACTA!”. Ich energia zmieknęła poglądy premiera Donalda Tuska. Choć umowę podpisał, dołączył do protestujących. W Europie pod petycją przeciwko ACTA zebrano blisko trzy miliony podpisów. Happy end? Bogdan Zdrojewski, szef resortu kultury odpowiedzialnego za polskie negocjacje w sprawie ACTA, ma inne zdanie, twierdząc, że europarlament wylał dziecko z kąpielą. Bo ochrona własności intelektualnej i praw autorskich to konieczność, a jej warunkiem jest ścisła międzynarodowa współpraca przeciwko rozszerzającemu się piractwu. To prawda i niewielu przeciwników ACTA kwestionowało tę konieczność. Tyle tylko, że wspomniana przez ministra woda w kąpielni była bardzo mętna. Nego-



cjacje porozumienia od samego początku utajniono, dopiero przecieki z treści dokumentu zmusiły do jego ujawnienia. Mieszkańcy Europy skutecznie przeciwko takiej metodzie zaprotestowali.

Teraz czas na dyskusję, jak skutecznie chronić dysponentów własności intelektualnej i twórców, by mogli czerpać wynagrodzenie ze swej pracy, nie doprowadzając jednak do sytuacji, kiedy potencjalnie każdy użytkownik Internetu staje się podejrzanym o piractwo. Dyskusja nie będzie łatwa, bo od rozpoczęcia prac nad ACTA w połowie ubiegłej dekady radykalnie zmienił się układ sił.

Symbolicznie rzecz ujmując, Krzemowa Dolina odkryła, że nie zawsze ma ten sam interes co Hollywood. A interes internautów nie zawsze jest tożsamy z interesem wielkich i mniejszych firm internetowych, zarabiających na handlu cudzą własnością. Co dalej? Formalnie umowa ACTA może być przyjęta przez innych sygnatariuszy, z pominięciem Unii Europejskiej. Komisja Europejska zapowiada jednak, że wróci do tematu po orzeczeniu Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, który ma rozpatrzyć, czy ACTA odpowiada w ogóle prawu unijnemu. Na pewno jednak nie będzie to powrót do dokumentu w pierwotnej wersji.

Reforma Petryny

Jarosław Gowin, mimo głośnego sprzeciwu koalicyjnego PSL, dostał od Komitetu Stałego Rady Ministrów zielone światło do reorganizacji sądownictwa. Chce jednym rozporządzeniem zamienić blisko 80 sądów rejonowych w wydziały zamiejscowe sądów okręgowych, co da możliwości przesuwania sędziów do pracy tam, gdzie są większe zaległości. Podobno Donald Tusk mocno zdziwił się tymi zapędami reformatorskimi ministra Gowina. Jednak to nie szef resortu sprawiedliwości jest autorem śmiałego pomysłu, który rozdrażnił Waldemara Pawlaka i nadważył stosunki koalicyjne. Pomysł reorganizacji (by nie użyć bardzo nie lubianego przez ministra Gowina słowa – likwidacji) małych sądów od siedmiu lat forsuje zastępca dyrektora Departamentu Sądów, Organizacji i Analiz Wymiaru Sprawiedliwości Krzysztof Petryna, sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie.

Do ministerstwa trafił pod koniec 2004 r. za czasów ministra Andrzeja Kalwasa w rządzie Marka Belki. Realne kształty projekt nabierał za czasów Zbigniewa Ziobry. W październiku 2007 r. Petryna mówił w wywiadach prasowych, że „dojdzie do likwidacji sądów, a sędziowie zostaną przesunięci do tych spraw i wydziałów, w których są najbardziej potrzebni”. Jednak projekt rozporządzenia przeleżał w ministerialnej szufladzie kilka lat, bo żaden z ministrów nie palił się, by go zrealizować.

Krzysztof Petryna, zapytany przez POLITYKĘ, czy jest ojcem rewolucji, która rozpocznie się na początku przyszłego roku, odpowiada: – *Prowadzę prace analityczne na temat organizacji sądów i gdy ministrowie pytali mnie o zakres działań mojego departamentu, to przedstawiałem im wyniki mojej pracy i proponowałem rozwiązania.* Potwierdza to także obecność Krzysztofa Petryny przy ministrze Gowinie, gdy tylko jest mowa o reorganizacji sądów. Był na posiedzeniu sejmowej komisji sprawiedliwości, gdy posłowie zażądali informacji na ten temat. To Petryna przemawiał wtedy najdłużej. Razem jeżdżą też do oburzonych samorządowców, którzy nie zgadzają się na likwidację sądu w swoim powiecie. Inwestowały spory w budynki, sąd to pewnie miejsca pracy (często oprócz szpitala i powiatowego urzędu – podstawowe, także dla partyjnego aparatu), a argumentu, że sąd powinien być blisko obywatela, też zlekceważyć nie można. Ale likwidacja 79 sądów rejonowych jest już raczej przesądzona.

ANNA DĄBROWSKA

Familijny sojusz łupkowy

Adam Grzeszak

Komentarz

Pięć wielkich polskich firm – PGNiG, KGHM, PGE, Tauron i Enea – podpisało umowę w sprawie poszukiwania i wydobycia gazu z łupków. Umowa jest na razie wstępna, ale już zadeklarowano, że jej efektem będzie uruchomienie w 2016 r. przemysłowego wydobycia



ze złóż w rejonie Wejherowa. Członkowie konsorcjum wyłożą na to 1,7 mld zł. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że pomysł gazowego sojuszu narodził się w Kancelarii Premiera, a nie w trakcie biznesowych narad. Gaz łupkowy stał się dziś rodzajem nowego Euro 2012 – celem, do którego musimy dążyć, nie licząc się z kosztami i nie bacząc na przeszkody. Minister skarbu Mikołaj Budziszewski dostał zadanie znalezienia pieniędzy na ten ambitny, choć ryzykowny projekt. Szefowie państwowych spółek szybko pojęli, że albo dołożą się do łupkowej kasy, albo rozstaną z robotą. Nie chcą podzielić losu byłego szefa PGNiG Michała Szubskiego, który niepotrzebnie mnożył wątpliwości.

Nawet niewielkie wydobycie zostanie uznane za polityczny sukces rządu, natomiast brak gazu wzbudzi podejrzenie, że komuś zależy na utrzymaniu naszej zależności od Rosji. Wszyscy jak mantrę powtarzają, że w USA dzięki łupkom gaz jest sześć razy tańszy niż w Polsce. Tyle że w USA rząd poprzez roz-

budowany system zachęt prawno-podatkowych tworzył warunki sprzyjające wydobyciu. Skorzystały na tym głównie mniejsze firmy, a nie giganci. Dzięki temu biznes łupkowy jest w USA szalenie konkurencyjny. Tymczasem w Polsce minister skarbu musi kijem zaganiać firmy do wiercenia, a w tym samym czasie minister finansów pracuje nad tym, jak z gazu, którego jeszcze nie mamy, wycisnąć najwięcej pieniędzy do budżetu. Jeśli państwo zapewni firmom jasne, stabilne i opłacalne warunki poszukiwania i wydobycia, to i bez ministerialnego kija chętni się znajdą. Bo z wymuszonymi na siłę sojuszami państwowych spółek zwykle się kończy, jak niegdyś z Telewizją Familijną.

Choroba przewlekła czy nieuleczalna?

Joanna Solska

Komentarz

Brytyjski koncern GlaxoSmithKline wołał zapłacić 3 mld dol. rządowi amerykańskiemu w ramach ugody, niż czekać na wyrok w procesie, w którym został oskarżony o oszustwa i korumpowanie lekarzy. Nie tylko po to, żeby wypisywali recepty na jak najwięcej specyfików tego producenta, ale także, by ordynowali je na schorzenia, których nie przewidywały amerykańskie wskazania rejestracyjne (o co teraz tak walczą nasi lekarze).

W USA na opiekę zdrowotną, w przeliczeniu na jednego pacjenta, wydaje się 7,5 tys. dol. rocznie. Najwięcej na świecie, więc jest się o co bić. Nasza publiczna służba zdrowia jest o wiele biedniejsza, może rocznie wydać na pacjenta zaledwie 1,2 tys. dol. Żeby osiągać dobre wyniki sprzedaży leków, ich producenci muszą więc zabiegać o względy lekarzy równie nieetycznie. Praktyki pozyskiwania przychylności lekarzy nie są specyfiką jednego koncernu, ale całej branży, gdzie popyt w ogromnej mierze kreują właśnie lekarze, nierzadko pod dyktando producentów.

Na szkoleniach, również opłacanych przez firmy, profesorowie przekonują mniej utytułowanych kolegów do specyfików firmy, z którą są związani. Nie ma w tym nic dziwnego – dzielą się z nimi najnowszą wiedzą medyczną. Nie ma też nic dziwnego w zaproszeniach, które firmy PR kierują do mediów na różnego rodzaju seminaria. Medyczne autorytety udowadniają na nich, że polski rząd działa na szkodę pacjentów, odmawiając im sfinansowania nowoczesnych terapii. O tym samym często przekonują stowarzyszenia pacjentów, nad którymi opiekę roztaczają producenci stosownych leków. To bardzo skuteczna grupa nacisku. Pewnie w wielu przypadkach mają rację – za 1,2 tys. dol.



rocznie nie da się leczyć równie dobrze jak za 7,5 tys. czy choćby za ponad 3 tys. dol., bo taka jest stawka w Wielkiej Brytanii. A najnowsze terapie są zwykle bardzo drogie.

To, że autorytety dzielą się swoją wiedzą medyczną, jest więc również formą lobbingu, którego celem jest wprowadzanie danych specyfików na listy refundacyjne. Wtedy dopiero zarobek producenta staje się stały i znaczący.

Zwłaszcza gdy zwykłych, nieutytułowanych lekarzy zachęca się odpowiednią motywacją. Swoją drogą – w jaki sposób firmy farmaceutyczne dowiadują się, ile faktycznie recept na ich specyfik wypisał dany lekarz?

W tym roku walka o podział farmaceutycznego rynku stała się szczególnie zażarta. Powodem jest nowa ustawa refundacyjna, która zmienia dotychczasowe zasady jego funkcjonowania. Pacjenci nie mogą ocenić, czy jest ona dobra, czy też fatalna. Media także nie. Zarówno autorytety medyczne, jak i zwykli lekarze przekonują nas, że ustawa jest niemal eksterminacją narodu polskiego. I, być może, mają rację. Kłopot w tym, że – przez finansowe powiązania z producentami leków, o których pacjenci mają mgliste pojęcie – stają się mniej wiarygodni. Tak jak mało wiarygodni są przedstawiciele znanych kancelarii prawnych czy różnych fundacji, którzy ostro krytykują ustawę, nie informując jednak opinii publicznej, że ich klientami są producenci leków. Wypowiadają się wyłącznie jako eksperci, dla dobra pacjentów.

Nie wiemy, czy nieetyczny sposób związania środowiska medycznego z producentami leków jest chorobą przewlekłą, czy już nieuleczalną. Wiemy, że stał się globalny. Jest jak w starym dowcipie: przychodzi chory do lekarza, a lekarz też chory.

Gra w trzy piłki

Piotr Pytlakowski

Komentarz

Ledwo skończyło się Euro 2012, adrenalina znów skoczyła kibicom, bo Agnieszka „Isia” Radwańska doszła aż do finału na Wimbledonie (Polskie rakiety – s. 10). I jakby tego było mało, siatkarze wrócili z finałowego turnieju Ligi Światowej po raz pierwszy jako zwycięzcy. Te trzy wydarzenia zdominowały przekazy medialne, polityka zeszła na dalszy plan.

Elitarny tenis rozpałił masy do gorączki – nic dziwnego, bo Polka wchodzi do finału najważniejszego turnieju wielkoszlemowego raz na 75 lat (o poprzedniej finalistce piszemy na s. 83). Na tenisowej mapie niewiele ten londyński cud zmieni. O masowym uprawianiu tenisa nawet nie ma co marzyć. Selekcjonowanie talentów będzie odbywało się tak jak dotychczas. Aby młody zawodnik mógł wybić się ponad przeciętność, musi mieć upartych i zdolnych do poświęceń rodziców, a do tego zamożnych. Za mało jest w Polsce obiektów do gry, dlatego korzystanie z kortów jest dla większości za drogie. Zupełnie inaczej niż na przykład w sąsiednich Czechach, gdzie tenis jest sportem egalitarnym. W przypadku Radwańskiej, tak jak niedawno Kubicy, uspołeczniliśmy po prostu indywidualny sukces.

Co innego siatkówka. To jedna z nielicznych w Polsce dyscyplin sportowych, za którą stoi system. Siatkówka jest już w naszym kraju sportem masowym. Kwitnie głównie w terenie. W Rzeszowie, Olsztynie, Częstoch-



wie, Bełchatowie, Kędzierzynie – powstają tam hale do gry, a lokalne społeczności namiętnie kibicują swoim asom. Do klubów przychodzą tłumy dzieci, trenerzy wybierają z nich te, które są odpowiednio wysokie i silne. Tu wszystko wydaje się dopięte na ostatni guzik. Są kibice, a do tego kulturalni, chociaż żywiołowi. Nie dochodzi do kibolskich burd, a to powoduje, że sponsorzy widzą większy sens w budowaniu swojego wizerunku na tle siatkarzy, a nie piłkarzy. Więc siatkarze mają sponsorów.

W klubach grają prawdziwe gwiazdy nie tylko z Polski: Rosjanie, Francuzi, Włosi, Brazylijczycy. Siatkówka przynosi wysokie dochody, kluby stać na zatrudnianie mistrzów. Od lat trenerami reprezentacji są świetni zagraniczni trenerzy. W 2014 r. będziemy w Polsce gościć mistrzostwa świata siatkarzy – pomysł, aby mecze polskiej reprezentacji rozegrać na Stadionie Narodowym, przy 50 tysiącach widzów, jest i realny, i pociągający.

A futbol? Pewnie zawsze będzie największą miłością kibiców, ale jeszcze długo, długo nieodwzajemnioną. Niestety, w nim obecne są głównie namiętności.

Tu nie można zdobyć mistrzostwa indywidualnie, jak w tenisie, F1 czy biegach narciarskich, a zbiorowo się nie da, bo PZPN, UEFA, FIFA i słabi działacze i marny system. Może oddać PZPN pod kuratelę siatkarzom?



Uff, jak gorąco

Upały najwyraźniej nie pomogły naszej polityce. Mimo że rozgrywa się ona na ogół w klimatyzowanych salach, to wypowiedzane treści sprawiają wrażenie, jakby rodziły się na rozprężonych słońcem placach i ulicach. Może już nawet na granicy omdlenia autorów, którzy nim padną, próbują jeszcze powiedzieć coś, co się przebijie przynajmniej na portale internetowe, usychające z powodu braku informacji i biorące wszystko, jak leci.

Ulubionym autorem portali stał się na przykład poseł Stanisław Pięta z PiS, ogłosił szerzej nieznaną, ale liczbą cytowań przebijającą być może samego prezesa Kaczyńskiego. I nic dziwnego, w ostatnich dniach zaproponował ogólnonarodową deratyzację, czyli ogólnopolską akcję oczyszczania kraju z lewackich szcurków. Dostrzegł je głównie w szeregach Ruchu Palikota. Sposobu deratyzacji nie określił, ale samym apelem zyskał już poparcie. Jako jeden z pierwszych wsparł go intelektualista, profesor UMK w Toruniu, konserwatysta, a nawet monarchista, Jacek Bartyzel. To wsparcie jest o tyle ciekawe, że wedle Wikipedii syn profesora Jacek Władysław należy właśnie do tych, którzy mają podlegać deratyzacji, czyli do Ruchu Palikota. Rewolucja rzeczywiście pożera własne dzieci. Ale żeby aż tak dosłownie?

Z Ruchu Palikota też posypały się cytaty warte uwagi. Jeden z tych, którzy – jak rozumiem – mają podlegać deratyzacji,

poseł Robert Biedroń, nakrzyczał na specjalnie zwołanej konferencji prasowej na Sejm, że to „syf i burdel” i na panią marszałek Ewę Kopacz osobiście, że „kopie ona demokrację po tyłku”. To taki subtelny żart z nazwiska. Powodem gniewu było zaś to, że posłowi nie dostarczono ekspertyzy Komitetu Nauk Prawnych PAN na temat projektu ustawy o związkach partnerskich i musiał się po nią sam pofatygować do stosownego sejmowego biura, mieszczącego się zresztą w tym samym budynku. Być może poczuł się rozszerzony dopiero po przeczytaniu owej ekspertyzy, ponieważ, uznając całą trudność materii i doceniając wagę sprawy, dość jednoznacznie stwierdza,

że projekt jest bublek prawnym. Niewykłuczone więc, że Ewa Kopacz, nie kierując jej od razu pod obrady plenarne, nie skopała jednak demokracji. Ale dla opozycyjnego posła nie ma to większego znaczenia, on swoją konferencję urządził. Może jednak byłoby pożyteczne, aby zamiast tkwić w „syfie i burdelu”, poseł podniósł nieco poziom parlamentarnej pracy, na przykład czegoś się nauczył, by wiedzieć, że ustawy warto przygotowywać lepiej, bo myśl najsluszniejszą trzeba oblec w dobre przepisy. Nie jest to zresztą dla jego partii wyzwaniem duże. Nic nie przeszkadza wynajmując ekspertów, klub dostaje na ten cel pieniądze podatnika.

W takiej gorączce nie mogła nie dać znać o sobie Solidarna Polska. Partia Ziobry, kiedy już głos zabiera, idzie na całość. Zapowiedziała, że będzie odwoływać marszałek Kopacz za brak poszanowania demokracji. Obietnica to dość bezpieczna, ziobryści nie mają bowiem wystarczającej liczby posłów (46), aby wniosek złożyć. Mogliby poprosić Ruch Palikota i posła Biedronia, ale mają go w pogardzie, a więc albo zasady, albo osobiste fobie. Na razie fobie górą, nawet kosztem zagrożonej demokracji. Kopacz pewnie zostanie, aby dusić demokrację. Przy okazji Solidarna Polska postanowiła zrobić większe porządki i zaapelowała do pre-

miera Tuska, aby honorowo odszedł z powodu plałty Euro. Smuda odszedł, dlaczego ma zostać Tusk? Dotychczas, kiedy się chciało odwołać rząd, trzeba było skonstruować większość i zgłosić konstruktywne wotum nieufności, czyli przejść drogę raczej skomplikowaną. Obecna inicjatywa służy niewątpliwie uproszczeniu trudnych konstytucyjnych procedur, co może być konieczne, bo z demokracją rzeczywiście jest źle.

Na Jasnej Górze, a więc w miejscu szczególnym i mówiąc do wiernych szczególnie, bo do słuchaczy Radia Maryja, biskup kielecki Tadeusz Ryzan orzekł, że „w Polsce demokracja przekształcała się już w oligarchię i kontroluje wszystkie dziedziny życia jeszcze bardziej niż demokracja komunistyczna”. Czy podane przykłady, wśród których znalazły się: brak pozwoleń na budowę świątyń, zamykanie klasztorów, zamykanie do więzień kapłanów, odnoszą się do demokracji komunistycznej czy do obecnej oligarchii, biskup wprowadzić nie wyjaśnił, ale jeśli teraz jest gorzej, to pewnie do obecnej. Tym bardziej na porządku dnia staje pytanie: w jakim kraju żyjemy? Niewątpliwie jest ono ważniejsze niż dotychczasowe: jak żyć, panie premierze?

Jan Koza



© JAN KOZA

Ponta sprząta



Najpierw klótnia o krześle na szczycie UE, teraz próba impeachmentu – centrolewicowy premier Rumunii **Victor Ponta** wdał się w otwartą wojnę z centroprawicowym prezydentem **Traianem Băsescu**.

Ponta jest trzecim szefem rządu od początku roku, w zamyśle miał tylko administrować krajem do jesiennych wyborów. Ale 39-letni polityk postanowił najpierw uwolnić Rumunię od jej prezydenta – w piątek przekonał parlament, by zawiesił Băsescu w obowiązkach głowy państwa i rozpoczął procedurę usunięcia

go z urzędu. Oficjalnie chodzi o powstrzymanie jego dalszych działań, powodujących ubożenie społeczeństwa. W rzeczywistości Ponta chce zdobyć pełnię władzy – według sondaży jego partia wygra wybory do parlamentu, w razie wakatu może też zgarnąć urząd prezydenta.

Ponta eliminuje każdego, kto stanie mu na drodze: doprowadził już do usunięcia m.in. przewodniczących obu izb parlamentu i ograniczył kompetencje trybunału konstytucyjnego. Rumuni są podatni na populistyczną retorykę, bo coraz boleśniej odczuwają cięcia nałożone przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy i zaakceptowane przez Băsescu. To oni zdecydują teraz w referendum, czy go odwołać.



Libijska sztafeta

Liberałowie – a nie islamici z Bractwa Muzułmańskiego, jak w sąsiedniej Tunezji i Egipcie – wezmą większość mandatów w libijskim Kongresie Narodowym, tymczasowym parlamencie, który wybierze nowy rząd i premiera.

Głosowanie do kongresu, pierwsze wolne libijskie wybory od 60 lat i pierwszy etap wyborczej sztafety, która teraz czeka Libijczyków, przebiegło w miarę spokojnie. Do niepokojów, a nawet strzelanin, doszło w Trypolisie, na saharyjskim południu kraju,

a także w Cyrenajce na wschodzie, gdzie popularna jest idea separacji i panuje niezadowolenie, że kolebce rewolucji i sercu libijskiego przemysłu naftowego przydzielono zbyt mało miejsc w kongresie.

Kongres wybierano w arcyskomplikowanym głosowaniu. Kandydowało 3,7 tys. osób, w tym blisko 650 kobiet. Wystartowały 142 partie, niemal wszystkie dopiero co założone, listy wyborcze podzielono na partyjne i dla kandydatów niezależnych. Tak zawiłe zasady miały zapobiec

Język, który dzieli

Czy ustawa o „podstawach państwowej polityki językowej”, przyznająca rosyjskiemu status języka regionalnego w 13 obwodach Ukrainy (wszystkich obwodów jest 27), podzieli głębiej i nieodwracalnie kraj na dwie części? Przegłosowała ją Rada Najwyższa niemal tuż po końcowym gwizdku Euro 2012. Chyłkiem, naruszając procedury, bo projektu ustawy nie było w porządku dziennym, a szef parlamentu Wołodymyr Łytwin został nagle wezwany do administracji prezydenta i nie mógł prowadzić obrad. Opozycja wszczęła bójkę na pięści, ostatecznie głosowanie odbyło się pod dyktando rządzącej Partii Regionów. Skończyło się dymisją Łytwina i starciami z milicją, już na ulicach Kijowa.

Opozycja uważa, że nowa ustawa podzieli kraj na wschód rosyjskojęzyczny i mówiący po ukraińsku zachód, że zbliży

państwo do Rosji w chwili, gdy Ukraina już się od wielkiego sąsiada oddaliła na bezpieczną odległość. Według zwolenników opozycji nowe prawo jest niepotrzebne, bo na co dzień niczego nie zmienia. Rosyjskojęzyczni nie byli w kraju dyskryminowani, mogli się uczyć, studiować, korzystać z rosyjskojęzycznych mediów. Samorządy niektórych miast, choćby Charków, ustawiły język rosyjski jako urzędowy. W praktyce te regiony, gdzie dominowali rosyjskojęzyczni, czyli południe i wschód kraju, były dwujęzyczne. Wszyscy tam rozumieją także ukraiński. Można pytać po rosyjsku i otrzymać odpowiedź po ukraińsku lub odwrotnie. Nikomu to nie przeszkadzało, póki nie wchodziła się polityka.

Rosyjski jest językiem silniejszego kraju i bardziej ekspansywnej kultury. Ukraiński jest jednym z wyznaczników tożsamości na-

rodowej i należy go pielęgnować. Bo to dopiero niepodległa Ukraina nadała mu status języka urzędowego. Nawet pochodzący ze wschodu prezydent Wiktor Janukowycz musiał się nauczyć ukraińskiego. Jeśli teraz urzędowym stanie się także rosyjski, zaszkodzi to ukraińskiej mowie. Wiele ludziom, także politykom, po rosyjsku rozmawia się łatwiej, znajomość tego języka wynieśli z domów i szkół, z sowieckich czasów.

Unia Europejska sprzyja językom mniejszości. Ale sytuacji na Ukrainie nie można porównywać z europejską, mówią opozycjoniści w Kijowie. Dominacja rosyjskiego nie posłuży zbliżeniu z Zachodem, wręcz przeciwnie, odsunie Ukrainę na wschód i pogłębi podziały, które powoli, ale systematycznie zniknęły, co dawało nadzieję, że za jedno, dwa pokolenia nikt już by o nich na Ukrainie nie pamiętał.

JAGIENKA WILCZAK



© EPA/PAP (2), BE&W

Piarowiec Watykanu

Tego jeszcze papieski Rzym nie widział. Po serii katastrof wizerunkowych kurialiści stworzyli stanowisko starszego specjalisty od public relations. I zaraz podjęli starania, żeby obsadzić na nim **Gregą Burke'a**. 52-letni Amerykanin z ponad 20-letnim stażem korespondenta w Rzymie początkowo odmówił. Po prostu lubi swoją pracę korespondenta. Absolwent dziennikarstwa na uniwersytecie Columbia, ostatnio pracował dla prawicowej sieci Fox News, wcześniej dla tygodnika „Time” i konserwatywnej prasy katolickiej w USA. W końcu jednak się zgodził. Na piarze się specjalnie nie zna, ale nie ma z tym problemu, bo wie, czego po nim oczekuje watykański Sekretariat Stanu, który go zatrudnił.

Burke nie będzie rzecznikiem Stolicy Świętej. Tę funkcję nadal pełni jezuita Federico Lombardi. Będzie raczej watykańskim odpowiednikiem „dyrektora komunikacji” w Białym Domu, czyli strategiem od polityki medialnej Kościoła. Burke jest oddanym synem Kościoła i świeckim członkiem Opus Dei, żyjącym w celibacie i oddającym Kościołowi sporą część dochodów. Niedawno otrzymał obywatelstwo włoskie.



© RAPAL GUZ/PAP, AP/EAST NEWS (2)

Zemsta goni zemstę

Francuscy śledczy z wydziału przestępstw finansowych przeszukali dom i biuro Nicolasa Sarkozy'ego w centrum Paryża. Były prezydent i jego małżonka wyjechali kilka dni wcześniej na wakacje do Kanady. Rewizję zarządził sędzia śledczy, badający sprawę nielegalnego finansowania kampanii prezydenckiej Sarkozy'ego w 2007 r., w szczególności datków, które rządząca wówczas partia UMP miała otrzymać od Liliane Bettencourt, dziedziczki fortuny kosmetycznej L'Oréal. Policjanci nie zarekwirowali jednak żadnego

dokumentu, sam Sarkozy nie został też o nic oskarżony, choć od lat krążą informacje, że osobiście przyjmował koperty od Bettencourt. Jeśli coś spędza mu sen z powiek, to prędzej tzw. afera Karaczi. Chodzi o rzekome prowizje od sprzedaży okrętów podwodnych do Pakistanu – pieniądze miały zasilić kampanię Eduarda Balladura w 1995 r., której rzecznikiem był Sarkozy, a sprawa może mieć pośredni związek z tajemniczym zamachem na francuskich stoczniovców w Karaczi w 2002 r. Według jednej z teo-

rii, była to zemsta pakistańskiego wywiadu za niewypłacenie prowizji dla tamtejszych pośredników – wybory w 1995 r. wygrał ostatecznie sklócony z Balladurem Jacques Chirac, który nakazał rozmontować cały układ.

Formalnie immunitet Sarkozy'ego ustał miesiąc po wyprowadzce z Pałacu Elizejskiego. Nie może on też liczyć na niepisaną umowę o nietykalności byłych prezydentów – sam ją złamał, pozwalając na proces i skazanie Chiraca za malwersację w paryskim Ratuszu.

skupieniu władzy w rękach jednego ugrupowania, plemienia lub regionu kraju. W efekcie 200-osobowy kongres będzie szalenie rozdrobniony. W libijskim kalendarzu wyborczym figuruje jeszcze wybór 60-osobowego komitetu, który ekspresowo napisze nową konstytucję. Później referendum konstytucyjne i wybory parlamentarne z prawdziwego zdarzenia. Te odbędą się za około półtora roku i symboliznie zakończą libijską rewolucję.

Nowa para w Warszawie

Listy uwierzytelniające złożył nowy ambasador Francji, 58-letni **Pierre Buhler**. Paryż przysłał do Warszawy dyplomata doskonale znającego Polskę, w której był już na placówce w latach 1983–85, autora 700-stronicowej historii współczesnej naszego kraju „Polska droga do wolności, 1939–1995”, wydanej także po polsku w 1999 r. Buhler po studiach handlowych, politologicznych i etnologicznych, ukończył elitarną Krajową Szkołę Administracji (ENA) i rozpoczął pracę w dyplomacji, m.in. na placówkach w Moskwie, Waszyngtonie i No-



wym Jorku. Był ambasadorem w Singapurze. Wykładał stosunki międzynarodowe w paryskiej Science Po; w ubiegłym roku wydał nagrodzoną („najlepsza książka z dziedziny geopolityki”) „La puissance au XXIe siècle” (Potęga w XXI w.). Żoną ambasadora jest znana dziennikarka **Sylvie Kauffmann**, dawna korespondentka agencji AFP w Londynie, Warszawie i Moskwie, potem korespondentka „Le Monde” w Stanach Zjednoczonych, a ostatnio jedna z dyrektorek tego dziennika. Buhlera czeka zadanie ocieplenia klimatu w stosunkach polsko-francuskich, który według kół dyplomatycznych w Warszawie wyraźnie się pogorszył.

Kup książkę



Tenis jest

Polką?

Cztery kariery tenisowych mistrzyń rozgrywają się symetrycznie. Podobne życiorysy, podobne ambicje.

PIOTR PYTLAKOWSKI

Zakończony w niedzielę najważniejszy turniej tenisowy na świecie, Wimbledon. Ćwierćfinał: Angelique Kerber wygrywa z Sabine Lisicki. Oficjalnie Niemki, ale z pochodzenia Polki. Półfinał: Radwańska pokonuje Kerber. Pojedynek polsko-niemiecki czy polsko-polski?

Tenisistki krążą po wszystkich kontynentach pod barwami, które często nie oddają ich skomplikowanych losów. Maria Szarapowa to Rosjanka, ale wychowana od dziecka w USA. Słynna przed laty Czeszka Martina Navratilova reprezentowała Stany Zjednoczone. Słowaczka Martina Hingisova stała się sławna jako Szwajcarka Hingis, bo jej mama po rozwodzie z ojcem Martiny wyszła za szwajcarskiego informatyka i przeprowadziła się w Alpy. Do niedawna liderka tenisowego rankingu Caroline Wozniacki (paszport duński, dusza polska) przegrała Wimbledon już w pierwszej rundzie z Austriaczką Tamiarą Paszek, z której sportowych sukcesów mogą być dumni nie tylko Austriacy. Tamira to córka Ariffa Mohameda, obywatela Kanady urodzonego w Tanzanii, i Françoise Paszek, Austriaczki urodzonej w Chile.

Polskie korzenie mają Australijki Samantha Stosur i Alicia Molik. Kanadyjka Aleksandra Woźniak, córka Jadwigi i Antoniego, chociaż urodzona w Montrealu, biegle mówi po polsku (włada też pięcioma innymi językami). Reprezentuje Kanadę, chętnie kibicuje jednak polskim sportowcom. Jej trenerem od początku kariery jest tata Antoni Woźniak. Podobnie jak trenerami bliskich sobie pokoleniowo Caroline Wozniacki (22 lata), Angelique Kerber (24 lata), Sabine Lisicki (23 lata) i Agnieszki Radwańskiej (23 lata) byli lub nadal są ich ojcowie – ostatnie sukcesy tych czterech dziewczyn powodują (słusznie lub nie) dumę polskich kibiców tenisa. Agnieszka mieszkająca w Krakowie to aktualnie numer drugi na top liście. Siódma jest Angelique z Kiel (urodzona w Bremie).

Agnieszka Radwańska

Caroline (urodzona w Odense), która jako miasto rodzinne podaje Kopenhagę, chociaż od kilku lat mieszka w Monte Carlo – ósme miejsce. Sabine (urodzona w niemieckim Troisdorfie), mieszkająca trochę w Niemczech, a trochę na Florydzie (Bradenton) – lokata 18.

Wojciech Fibak, były świetny tenisista i wielki fan talentu Agnieszki Radwańskiej, nie jest zdziwiony, że tyle Polek (poprawniej: zawodniczek polskojęzycznych) wdarło się do światowej czołówki. – *Był run na Latynoski, potem ruszyła fala Rosjanek, Czeszek, Belgijek. Nadszedł czas na falę polską* – komentuje.

Adam Romer, redaktor naczelny magazynu „Tenisklub” i ekspert tenisowy, z lekką pobłażliwością podchodzi do umieszczania tenisistek z różnych stron świata pod wspólną polską flagą. – *Tak naprawdę tylko Agnieszka to typowo polski produkt* – mówi. – *Lubimy przyznawać polskość każdemu dobremu sportowcowi, nawet jeśli on tego ucale nie chce.*

W życiorysach Agnieszki, Caroline, Sabine i Angelique dostrzega jednak wiele wspólnych cech. Wszystkie są niesłychanie ambitne, utalentowane i pracowite. To cechy, które wyniosły z domów rodzinnych. Kariery tenisowe zawdzięczają rodzicom. – *Ojcowie tych dziewczyn mieli podobne wizje ich rozwoju* – mówi Adam Romer. – *Sami byli ze sportem związani, czuli jego zapach i potrafili sportową pasję zarazić swoje córki.*

Agnieszka

Robert (dla przyjaciół Piotr) Radwański uprawiał w młodości hokej na lodzie, potem łyżwiarstwo figurowe (był mistrzem Polski juniorów), wreszcie tenis (mistrzostwo kraju w deblu). W 1986 r. ukończył AWF w Krakowie. Za chlebem wyjechał do Niemiec, tam uczył dzieci gry w tenisa. Spędził za granicą kilka lat. Wrócił i wszystko, co zarobił, zainwestował w tenisową karierę córek: Agnieszki i Urszuli.

Rodzinna inwestycja Radwańskich w tenisowy biznes długo nie przynosiła zwrotu kapitału. Ten motyw często pojawia się w wywiadach udzielanych przez Agnieszkę i jej bliskich – nieustanne podróże na niskobudżetowe turnieje, noce w samochodzie, zupki ze stoika. Dziadek Isi i Uli, Władysław, sprzedał kiedyś fragment rodzinnej kolekcji obrazów sprzed wojny, bo Radwańskim zagroziła plajta. Być może, gdyby nie pomoc stworzonego przez biznesmena Ryszarda Krauze Prokom Team PZT, kariera przyszłej finalistki Wimbledonu zostałaaby z braku pieniędzy przerwana. Prokom Team zainwestował w młodych i utalentowanych tenisistów: Agnieszkę i Ulę, a także w rozwój Łukasza Kubota, Jerzego Janowicza oraz deblistów Mariusza Fyrstenberga i Marcina Matkowskiego (dzisiaj światowa czołówka). ►



Angelique Kerber

© PAP/EPa

© PAP/EP



Caroline Wozniacki

► W 2005 r. Isia uzyskała tenisowy status profesjonalny i rozpoczęła moźolną wspinaczkę po szczeblach zawodowej kariery. Pierwsze zwycięstwo w cyklu WTA odniosła w 2007 r. w Sztokholmie. Dzisiaj ma już na koncie 10 takich zwycięstw.

Przez lata trenował ją Robert Radwański. W jednym z wywiadów Agnieszka powiedziała, że tata jest dla niej bardziej trenerem niż ojcem. Wymagający, nieprzebierający w słowach. Nie pozostawała mu dłużna. Coraz częściej dochodziło do awantur przy otwartej kurtynie, w przerwach meczów. Ojciec powiedział ostre słowo, córka odpowiedziała wulgarnie – mikrofony to wylały. Atmosfera gęstniała, a poziom gry na tym cierpiał. Dziennikarze namawiali team Radwańskich do zatrudnienia trenera spoza rodziny, Robert bronił się przed tym, wciąż chciał być jedynym autorem sukcesów córki. Ale zwycięstw zaczęło brakować.

Zmieniło się na lepsze, kiedy na turnieje zamiast ojca zaczął jeździć z Agnieszką młody trener Tomasz Wiktorowski. Spokojny, pewny siebie – te cechy szyb-

ko udzieliły się zawodniczce. Forma wróciła i to jaka! Finał Wimbledonu, według Fibaka, to nie jest kres tenisowej drogi Agnieszki. – *Ona jest całkowicie świadoma swoich celów* – ocenia

Adam Romer. Uczy się, jak ważną rolę odgrywa umiętny marketing. Pieńiądże z nagród za wygrane turnieje – szacuje się, że w ten sposób zarobiła już ok. 10 mln dol. – to zaledwie część przychodów. Tenisiści z topu zawierają kontrakty reklamowe i pozyskują sponsorów strategicznych. W 2011 r. Agnieszka Radwańska związała się umową z francuską firmą Lagardere Unlimited, inwestującą w sportowe talenty. Od tej pory ta agencja załatwia tenisistce z Krakowa opłacalne kontrakty. Niektórzy właśnie w umowie z francuskim potentatem upatrują przyczyn wstrzeźliwości Agnieszki w kwestiach politycznych. Robert Radwański nigdy nie krył swojej sympatii dla PiS i wspólnych z tą partią poglądów na temat katastrofy smoleńskiej. Agnieszka oficjalnie unika zajmowania jednoznacznego stanowiska. To ważne z handlowego punktu widzenia – zbudowa-

wać swój wizerunek sportsmenki bez politycznych odniesień.

Caroline

Anna i Piotr Woźniacy w Polsce byli sportowcami. Ona grała w siatkówkę nawet na poziomie reprezentacji kraju, on w piłkę nożną na niższych szczeblach ligowych (Miedź Legnica i Chrobry Głogów). W latach 80. XX w. Piotr urwał się z wycieczki do Szwecji i dotarł do Danii. Ściągnął tam żonę. Zamieszkali w Odense, gdzie w 1990 r. na świat przyszła Caroline.

Tajniki tenisa Piotr poznawał razem z małą Caroline. Dbał o jej ogólny rozwój sportowy, techniki uderzeń uczyli ją specje tenisowi. Do dzisiaj Piotr Woźniacki, chociaż jeździ z córką na wszystkie turnieje, jest bardziej jej menedżerem niż trenerem. Dba o stronę biznesową, niewątpliwie ma do tego talent. Swego czasu potrafił nawet zmusić duński związek tenisowy do partycyipowania w kosztach, jakie pociągały tenisowe wyprawy Caroline. Związek nie był do tego skory, ale otworzył kiesę, kiedy Woźniacki zagroził, że razem



Sabine Lisicki

© MAXPPP/FORUM

z utalentowaną córką po raz kolejny wyemigrują, by szukać pomocy w innym kraju.

Caroline szybko stała się duńską rakieta numer jeden i rewelacją cyklu WTA, szczególnie kiedy wspierała się na szczyt rankingu. Polskim kibicom stała się naprawdę bliska, gdy na własne uszy przekonywali się, że ta piękna, blondwłosa duńska dziewczyna podczas największych światowych zawodów porozumiewa się ze swoim ojcem, siedzącym na trybunach, wyłącznie po polsku. Piotr Woźniacki, podobnie jak ojciec Agnieszki Radwańskiej, potrafił zwracać się do córki językiem, delikatnie mówiąc, mało parlamentarnym. Nie zawsze, zwłaszcza ostatnio, ta metoda motywacji przynosiła pożądane skutki. Caroline spadła w notowaniach rankingowych, w tym roku więcej przegrywa, niż wygrywa.

Przyjaźni się z Agnieszka. Często przyjeżdża do Polski, udziela wywiadów, w których deklaruje, że czuje się co najmniej pół-Polką. Chce, aby w Polsce nazywano ją Karoliną. Ale w Danii już na zawsze będzie Caroline, skarbem narodowym tego niedużego kraju, najlepszą tenisistką w historii sportu duńskiego.

Angelique i Sabine

Państwo Kerberowie, Beata i Sławomir, w świat wyjechali z Poznania. Dotarli do Niemiec, Sławomir Kerber został tam trenerem tenisa, co nie powinno dziwić, bo w Polsce był czynnym zawodnikiem, wysoko notowanym w krajowych rankingach. – *Walczyłem ze Sławkiem na korcie, do dzisiaj grywamy sparingi* – mówi Wojciech Fibak, też przecież poznaniak.

Kariera Angelique (można też prościej: Andżeliki) potoczyła się według schematu przeciwieństwa w rodzinach Radwańskich i Woźniackich. Jej trenerem też został tata. Była równie utalentowana jak Agnieszka i Caroline i podobnie jak one wciąż szukała pieniędzy niezbędnych do rozwoju kariery. Był nawet moment, kiedy Kerberowie zastanawiali się, czy nie wrócić z córką do Polski na stałe, aby – jak ujawnili w mediach – mogła grać w barwach starego kraju. W gruncie rzeczy była to rozgrywka taktyczna, rodzaj subtelnej nacisku na niemiecką federację tenisową, aby aktywniej zajęła się pomocą młodej zawodniczce. Dzisiaj Angelique Kerber już nie ma dylematów. Jest Niemką, gra dla Niemiec. A jeszcze cztery lata temu mówiła polskim dziennikarzom, że czuje się bardziej Polką niż Niemką.

Mieszkała i trenowała wtedy pod Poznaniem, u dziadka w Puszczykowie. Zajadała się ruskimi pierogami, ćwiczyła grę w tenisa i przypominała sobie

język rodziców. Po polsku mówi z lekkim akcentem, ale bardzo poprawnie.

Dziadek Angelique, Janusz Rzeźnik, w czasach PRL był właścicielem firmy polonijnej. W Puszczykowie wybudował halę tenisową, nazwał ją Centrum Tenisowe Angie, na cześć wnuczki. To właśnie na kortach u dziadka Angelique Kerber szlifowała formę pod okiem polskiego trenera Pawła Ostrowskiego. – *To trwało półtora roku* – wspomina Ostrowski. – *Jak zaczynaliśmy, była 150 na świecie, a kiedy rok temu kończyliśmy współpracę, była już 40.*

Rozstali się, bo trener uznał, że mi się wypełnił, więcej podopiecznej już nie nauczy. – *To naturalne w tenisowym świecie. Zawodnicy muszą zmieniać trenerów, a trenerzy zawodników* – mówi. Cieszy go, że cztery dziewczyny z polskich rodzin, chociaż z różnymi paszportami, znaczą w światowym tenisie tak wiele. Nie wiadomo, czy te kariery potoczyłyby się tak pomyślnie, gdyby Woźniacka, Kerber i Lisicka nie zaczynały za granicą. – *Infrastruktura tenisowa w Danii czy w Niemczech to w porównaniu do Polski niebo* – zauważa. Sam ma dwie córki, młodsza dwuletnia już wykazuje sportowe talenty, ale trener Ostrowski wstrzymuje się podchodzi do pomysłu, by została kiedyś zawodową tenisistką. – *To prawdziwa droga krzyżowa, nie wiem, czy chciałbym na nią kierować własne dziecko.*

Richard Lisicki, doktor nauk o wychowaniu fizycznym (praca doktorska na wrocławskiej AWF związana z tenisem), nie miał takich skrupułów. Został pierwszym trenerem Sabine, jest nim do dzisiaj. – *Ryszard przeszedł to samo, co inni ojcowie* – opowiada Paweł Ostrowski. – *To, że mieszkali w Niemczech, nie znaczyło przecież, że wszystko przyjdzie im samo. Też szukał pieniędzy, też zaciskał przez lata pasa. Dopiero dzisiaj zbierają owoce.*

Lisicki wrośli w Niemcy mocniej niż Kerberowie, nie udzielają wywiadów, nie powołują się na polskie korzenie. Wojciech Fibak mówi, że to pozory. – *Rozmawiają między sobą po polsku, tylko o tenisie mówią po niemiecku. Ryszard jest dla Sabinki bardzo delikatny, ma do tenisa podejście czysto filozoficzne. A ona też traktuje ten sport z właściwym spokojem, to wesoła, zawsze uśmiechnięta, kulturalna dziewczyna.*

Sabine Lisicki jest Niemką, podobnie jak Angelique Kerber. Caroline Woźniacki to Dunka. – *I niech tak zostanie* – mówi Adam Romer. – *Fajnie, że pochodzą z polskich rodzin, ale rozumiem, że wybrały grę w innych barwach. W tenisie narodowość nie jest sztandarem. To sport indywidualny, gdzie na co dzień gra się o własny prestiż i o własne pieniądze.*

PIOTR PYTLAKOWSKI

6. FESTIWAL LEGEND ROCKA w Dolinie Charlotty



14.07
TEN YEARS AFTER, SAVOY BROWN, CACTUS

10.08
THIN LIZZY ACID DRINKERS

11.08
URIAH HEPP BUDKA SUFLERA

12.08
PAUL RODGERS PERFECT

POLECA:



Bilety: TICKETPRO i EVENTIM

www.dolinacharlotty.pl www.legendyrocka.pl

SPONSORZY



Bank Polski



Energa



mopol

PATRONI HONOROWI



Powiat Słupski

PATRONI MEDIALNI



Guy Sorman – francuski intelektualista. Jego książka „Rozwiązanie liberalne” (1985 r.) była biblią zwrotu liberalnego w Europie. Był m.in. doradcą premiera Francji i prezydenta Korei. W 2003 r. wydał książkę „Dzieci Rifa’y. Muzułmanie i nowoczesność”. Związany z nowojorskim Manhattan Institute. Komentarze Sorman, rozprawiane przez Project Syndicate, ukazują się w ponad stu dziennikach na świecie.

Niech nastaną Stany

Guy Sorman, francuski filozof i publicysta, ekonomista, o zaletach podatków, społeczeństwach, które potrzebują jasnej perspektywy, i nieuchronnej unijnej integracji

JACEK ŻAKOWSKI: – Widzi pan jakiś happy end dla operowego serialu pt. „Dramat strefy euro”?

GUY SORMAN: – Opery, jak wiadomo, zwykle się kończą tragicznie. Dramat strefy euro to raczej opera mydlana. Może bardzo długo trzymać wszystkich w napięciu, może mieć bezlik niewyobrażalnych odslon, ale zgodnie z prawami gatunku musi się skończyć dobrze.

Skąd pan to wie?

Żyję wystarczająco długo, żeby dobrze pamiętać, że Europa z natury rozwija się, przechodząc z jednego kryzysu w drugi.

Takiego kryzysu Unii chyba nigdy nie było.

Każdy jest trochę inny, ale niech pan sobie przypomni wojnę rybną, w której państwa Unii używały przeciw sobie kanonierek. Albo odrzucenie przez gen. de Gaulle’a kandydatury brytyjskiej. Albo odrzucenie unijnej konstytucji przez Francję i Holandię. Kiedy przyjmowaliśmy państwa Europy Centralnej, wiele osób twierdziło, że to jest koniec Unii.

W jakimś sensie...

Oczywiście, Unia jest dziś czymś innym niż dekadę temu. Ale jest. Przeszła przez

ten kryzys. A każdy taki poważniejszy kryzys zwiększa ciężenie ku federalizmowi, silniejszej integracji, wzmacnianiu Brukseli. Technicznie także ten kryzys da się stosunkowo prosto rozwiązać. Mamy dość wiedzy i pieniędzy. Problem jest w emocjach. Bo Unia nie ma dziś celu.

Nie wie, po co żyje?

Właśnie. W 1959 r. było dokładnie wiadomo, że za 10 lat będziemy mieli strefę wolnego handlu. Każdego roku cła były obniżane o 10 proc. Ludzie wiedzieli, na co się trzeba przygotować. Teraz wszyscy wiemy, że trzeba wzmocnić Unię i że na to będą potrzebne pieniądze. Nie wiemy, jak ta nowa Unia będzie wyglądała w szczegółach, ale liderzy już dziś powinni ogłosić, że za 10 lat 10 proc. narodowych budżetów będzie szło do wspólnego budżetu i że rok po roku będziemy do tego stopniowo dochodzili. To by przekonało wszystkich, że Unia i euro to są strategiczne kierunki.

Myśli pan, że państwa zgodziłyby się oddać Unii 10 proc. budżetów?

To sprawa życia i śmierci. Jeżeli nie zapadną wyraziste perspektywiczne decyzje, Europa będzie się pogrążała. Dziś

liderzy podejmują decyzje techniczne, ale nie wiadomo, ku czemu mają one prowadzić. Taki konsens, dotyczący wspólnego celu w perspektywie dekady, musi się wyłonić, jeśli chcemy naprawdę wyjść z tego kryzysu.

Wyobraża pan sobie treść takiego konsensu?

Jedynym sensownym rozwiązaniem są Stany Zjednoczone Europy. I pójdziemy w tę stronę.

Wierzy pan, że to może działać?

Oczywiście. Całkiem niedawno nie mieliśmy nie tylko niezależnego Europejskiego Banku Centralnego, ale nawet niezależnych banków centralnych w poszczególnych krajach. Kiedy w 1984 r. napisałem, że francuski bank centralny powinien być niezależny, zostałem brutalnie skrytykowany przez byłego liberalnego prezydenta Valéry’ego Giscarda d’Estaing. Mówiono, że zwariowałem, bo rząd musi kontrolować emisję pieniądza, więc bank nie może być niezależny. Dziś mamy nie tylko niezależne europejski bank narodowe, ale też niezależny europejski bank emisyjny. I skala tej niezależności rośnie od początku kryzysu.

Presja rządów na EBC też rośnie.

Niech pan sobie przypomni, jak jeszcze pięć lat temu Nicolas Sarkozy powtarzał w kampanii wyborczej, że EBC ma za dużo władzy i niezależności, a przez to euro jest za mocne i Francja ma kłopoty z eksportem. Teraz w swojej zwycięskiej kampanii François Hollande ani razu niczego takiego nie mówił. Europa ma mocny ideologiczny konsens w sprawie niezależności banku centralnego. Inne instytucje też zostały zaakceptowane. Nikt nie krytykuje poważnie Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości.

Ale wszyscy krytykują Komisję.

Komisja ma etat kozła ofiarnego Unii. Rutynowo wszyscy na nią narzekają, ale każdy rozumie, że ona się sprawdza. Przynajmniej jak na warunki wyznaczonych w traktatach. Co komisja może poradzić na to, że państwa nie przestrzegają umów, które podpisały? Kryzys nie jest skutkiem traktatów. Jest skutkiem łamania traktatów. Zaczęło się od Niemców, którzy w 2008 r. świadomie złamali zasadę 3-proc. deficytu budżetowego.

Jak zwykle to Niemcy są winni europejskiemu nieszczęściu.

Dokładnie.

To mówi Francuz czy ekonomista?

Obserwator. Niemcy uznali, że z powodu kryzysu mogą mieć 4 proc. deficytu. Inni poszli za nimi. Pomyśleli, jak Niemcy mogą mieć 4, to dlaczego ja nie mogę mieć 7? I wszystko się rozjechało. Komisja nie mogła nic na to poradzić, bo państwa dogadały się ponad jej głowami. Dziś wszyscy rozumieją, że trzeba Unii dać władzę odstraszającego karania za takie naruszenia. Do tego potrzebny jest unijny minister finansów i jeszcze mocniejszy EBC.

Widzi pan konsens w tej sprawie?

Oczywiście. Ale to za mało. Potrzebujemy bardziej racjonalnej debaty. Dziś wszyscy przedstawiają europejski dylemat jako wybór między wzrostem gospodarczym a cięciem wydatków. I wszyscy są za wzrostem. Nikt nie jest za cięciami. A jednocześnie Hollande zapowiada zrównoważenie budżetu w dwa lata. Tnie wydatki bardziej radykalnie, niż zapowiadał Sarkozy.

To źle?

Wiadomo, że budżety trzeba zbilansować. Ale w ramach jakiegoś zrównoważonego planu. A z tym mamy kłopot. Wszyscy mówią o planach pro wzrostowych i wszyscy realizują programy oszczędnościowe. Na dłuższą metę tak się nie da prowadzić polityki. A politycy inaczej nie umieją.

Dlaczego?

Liderzy uważają, że opinia publiczna nie jest przygotowana do poważnej debaty. Ani o kryzysie, ani o federacji, ani tym bardziej o Stanach Zjednoczonych Europy. Boją się, że ludzie nie dorośli do takiej rozmowy.

W Polsce mamy na to powiedzenie:

„ludzie są różni – nas, mądrych, jest

mało”. Brak debaty wynika z takiego paternalizmu władzy?

Może to jest paternalizm, a może brak wiary w siebie – czyli we własną zdolność przekonywania. Jean-Baptiste Say, twórca ekonomii politycznej, już na początku XIX w. mówił, że najlepszym sposobem dochodzenia do dobrej polityki jest wytłumaczenie całemu narodowi, jak gospodarka działa. Dlatego przestał się zajmować teorią i zajął edukacją. Przestał być profesorem, zaczął być dziennikarzem. I powtarzał: nie warto uczyć liderów, oni się nie nauczą nigdy. Trzeba uczyć ludzi, żeby wywierali presję na rządy. Dziś częścią europejskiego problemu jest też to, że politycy nie rozumieją, jak działa gospodarka.

Bo wchodząc do rządu, mają przeszło 40 lat. Nawet jeżeli się czegoś nauczyli na studiach, była to wiedza aktualna dwie dekady temu. Czyli w innym świecie. Przed Internetem, globalizacją, finansjalizacją i Unią.

A potem zwykle robili karierę i niczego się już nie uczyli. To jest dramatyczny problem. Spotkałem niedawno ministra zafascynowanego programem deregulacji. On mi mówi: jestem pańskim uczniem, czytałem pańskie książki w latach 80., realizuję to, o czym pan pisał. Pomyślałem: Boże, nawet ja już nie wierzę w dużą część z tego, co pisałem 30 lat temu. Przecież świat jest kompletnie inny. I nasza wiedza jest inna.

Może intelektualne książki powinny mieć, jak żywność, nadruk z terminem ważności.

A może trzeba wybierać ludzi, którzy nadążają, bo ciągle się uczą. Takich polityków jest dziś niezwykle mało. Znałem dobrze dwóch prezydentów Francji – Chiraca i Sarkozy'ego. Obaj nie mieli o współczesnej gospodarce pojęcia. Większość ich doradców także. Nie ma co na nich liczyć. Trzeba się zwracać do ludzi. Pani Merkel nie musi znać się na ekonomii. Wystarczy, że patrzy na twarze wyborców. Niemcy nigdy by jej nie wybaczyli rozpętania inflacji. Nie rząd jest gwarantem stabilności używanej przez Niemców waluty, tylko społeczeństwo. Ale to nie znaczy, że politycy mogą się zupełnie wyrzec przywództwa. De Gasperi, Schumann, Adenauer czuli się na siłach wytłumaczyć wyborcom, że drogą Europy jest budowanie wspólnoty. Kilka lat po wojnie mało kto był w Europie gotów na taką politykę. Liderzy wzięli na siebie ciężar publicznej perswazyi. I to się udało.

Dziś by się udało?

Oczywiście. Gdyby politycy mieli dość rozumu i odwagi cywilnej. Ludzie potrafią słuchać i godzą się nawet na bardzo trudne zmiany, gdy się ich nie zaskakuje i kiedy wiedzą, do czego zmierzamy w perspektywie 5, 10 czy 15 lat. Dziś prawie każdy rozumie, że w wieku globalizacji potrzebujemy

wzmocnienia integracji, bo maleją szanse małych graczy. I że potrzebujemy euro, bo małe waluty już się nie obronią. Gdyby społeczeństwom uczciwie opowiedzieć, do czego z konieczności zmierzamy, opór byłby niewielki.

Trzeba by rozstrzygnąć delikatną kwestię, jaka ma być ta bardziej wspólna Europa. Czy to będzie Europa niemiecka? I czy Niemcy mają już zawsze płacić za błędy innych Europejczyków?

Wszyscy muszą płacić. To jest oczywiste. Ale jakoś tak się zrobiło, że w wielu krajach bogaci podatków nie płacą. W Grecji, Włoszech, Hiszpanii, Francji...

...w Polsce...

W większości nowych krajów. Niemiecki rząd jest stosunkowo bogaty, niemieckie państwo jest sprawne i gospodarka ma dobre warunki infrastrukturalne między innymi dlatego, że bogaci Niemcy uczciwie płacą podatki. To jest jedna z fundamentalnych różnic między krajami nordyckimi i germańskimi a resztą Europy. I w dużym stopniu dlatego jedni mają kłopoty, a inni muszą im pomagać. Ale to nie może trwać wiecznie. Każdy kraj ma jakąś przewagę konkurencyjną. Nie ma krajów biednych i bogatych. Są tylko kraje lepiej i gorzej rządzone.

Czyli?

Przed wszystkim są kraje zdolne do realizowania długofalowych strategii i takie, które miotają się od ściany do ściany. A od wybuchu kryzysu górę w całej Europie wzięł model rządu jako wielkiego strażaka. Rządy gaszą pożary, ale nie likwidują ich przyczyn, i niewiele robią, by nie wybuchały w przyszłości. Boją się nawet opowiedzieć swoje wizje wyborcom, więc skupiają się na działaniach doraźnych.

Walcząc tak z kryzysem, Europa niszczy swoją przewagę w konkurencji globalnej. Spójność społeczna, edukacja, kreatywność, wysokie kompetencje pracy, jakość życia, nauka, zdrowie, bezpieczeństwo społeczne gwarantujące spokój – są ofiarami cięć.

Zasadnicze wyzwanie polega dziś na tym, jak zachować tę długookresową przewagę, a jednocześnie być krótkookresowo konkurencyjnym wobec Brazylii czy Chin. Świat się zmienił i tę samą przewagę trzeba budować inaczej niż dotąd. Musimy na przykład obronić powszechne systemy opieki zdrowotnej, ale ich organizacja i finansowanie muszą ulec zmianie. Stany Zjednoczone Europy nie mogą wyglądać jak Stany Zjednoczone Ameryki. Nie ma powodu naśladować Chin. Musimy zachować europejski model, który jest naszą wielką przewagą, ale musimy go utrzymywać inaczej.

To znaczy?

Odwołać się do schumpeterowskiej idei konstruktywnej destrukcji. Skoro nie możemy konkurować z Koreą ►